



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



*J. M.*

MOTYW Z MIŃSZCZYNY.

Fot. J. Buthak.

# POCHODZENIE I ZASTOSOWANIE ORNAMENTU GEOMETRYCZNEGO

## W CERAMICE PRZEDHISTORYCZNEJ.

4)



W każdym razie był to obszar, którego zdobnictwo zasadzało się w przeciwieństwie do starożytno-wschodniego jedynie na geometrycznej ornamentyce, z jakiej też początek swój wziąć musiała dekoracja spiralna.

W jaki zaś sposób przedhistoryczna ludność tych krajów doszła do zdobycia tak skomplikowanej i zapewne niezwyklej jej poczuciu piękna ornamentyki, podjął się tego wyjaśnić znany niemiecki uczony dr. A. G. Wilke <sup>1)</sup>.

Jak długo początków linii spiralnej upatrywano na Wschodzie, gdzie już w bardzo dawnych czasach znana była kultura metalowa, chętnie posługująca się motywami zdobniczymi zaczerpniętymi z organicznego świata, tak długo usprawiedliwione było przypuszczenie, iż rysunek spirali wyprzedziła spirala organiczna, wzorowana na tworach przyrody (wąsy niektórych pnących się roślin i także u motyli i t. p.). Dla starożytno-wschodniego zdobnictwa z jego upodobaniem motywów ze świata zwierzęcego i roślinnego można przyjąć podobną genezę ornamentu spiralnego, jednak nie zdaje się to odpowiednio dla kultury Europy, nie posługującej się wówczas jeszcze żadnym ornamentem organicznym.

Sprawa pochodzenia europejskiej spirali przedstawia się jednak niezwykle prosto i naturalnie, kiedy — jak to właśnie uczynił dr. A. G. Wilke — zastosujemy, po raz pierwszy przez Alf. Stübel'a skonstruowaną teo-

ryę przesuwania, za pomocą której w nader prosty sposób wyjaśnił on rozwój peruańskiej ornamentyki meandrowej. Sposób ten zastosowany przez Wilke'go, podajemy na podstawie wyżej cytowanej jego pracy, z której też wyjmujemy i poniżej podane wzory przesuwania tudzież odnośne rysunki.

Opiszmy na osi AB pewną ilość współśrodkowych kół podwójnych i to tak, ażeby wszystkie punkta przecięcia z tą osią równo od siebie były oddalone. Następnie przepołówmy w kierunku długości cały szereg tych kół i przesuniemy obydwie połowy figur o jedną, dwie, trzy i cztery jednostki długości, to otrzymamy w ten sposób wzory jak na obok podanym rysunku.

Przez dalsze pomnażanie liczby kół głównych można tworzyć i dalsze kombinacje, zawsze jednak przez przesunięcie o jedną jednostkę otrzymuje się pojedynczą bieżącą linię wolutów, której ilość skrętów a jeden jest mniejsza od liczby kół współśrodkowych. Przesunięcie o połowę elementu figury tworzy system linii węzowych, których liczba równa jest liczbie kół. Trzecią grupę wzorów z przesunięcia tworzy podwojenie, a przy wielu kołowych wzorach pomnożenie pojedynczego pasa falistego.

Liczne wykopaliska dokonane zwłaszcza w Siedmiogrodzie i w Butmirze w Bośni świadczą dowodnie, iż ornament z kół współśrodkowych ważną odegrał rolę w zdobnictwie Europy środkowej, a przynajmniej jej połudn.-wschodniej części. Stąd przedostał się on zarówno do górnoaustriackich osad palowych, jak i do południowych okolic do Troi, gdzie w ruinach pierwszego miasta znaleziono czerepy gliniane z współśrodkowymi kołami, otoczonymi — jak na okazach z jeziora Księ-



Rys. 7. MISA ze Złotej.

— jak na okazach z jeziora Księ-

<sup>1)</sup> A. G. Wilke. Zur Entstehung der Spiraldekoration. Zeitsch. f. Ethnologie. 1906. Idem. Beziehungen der west — und mitteldeutschen zur Donauländischen

Spiral—Meander Keramik. Mitteil. d. anthr. Gesell. Wien 1905. XXXV.



życowego — promienistym wieńcem (rys. 16). Z dotychczasowych zaś odkryć wynika, iż współśrodkowe koła, użyte jako ornament, znane były w dolnym obszarze naddunajskim przynajmniej już w początkach trzeciego tysiąclecia i że w ten sposób umożliwiły one powstanie spiralnego ornamentu przez zastosowanie wspomnianej metody przesuwania.

Jako pierwszą grupę wzorów, powstałych z przesuwania, poznaliśmy pojedynczą linię wolutów, którą też najzupełniej wiernie oddaną widzieć można na naczyniu glinianym z Butmiru (rys. 12). Na rys. 13 i 14 przedstawione ornamenty należą do trzechkołowej linii wolutowej, na rys. 16 zaś do czterokołowej. Z wolutem, otrzymanym przez przesunięcie pięciu kół współśrodkowych, zgadza się wzór na naczyniu (rys. 17a) z Butmiru, na którym widoczne sploty spirali zupełnie są takie same jak wolut otrzymany z pięciu kół współśrodkowych (rys. 17b).

Powyższych kilka z ogromnej liczby przykładów wystarczyć mogą za dowód, iż neolityczna ornamentyka spiralna wzięła swój początek z metody przesuwania i zgadza się też najzupełniej z poszczególnymi konstrukcyjnie otrzymanymi grupami. Pozorne zaś odmiany od tego konstrukcyjnego typu są zwyczajnie wynikiem dowolnie już z czasem zastosowywanej ornamentyki spiralnej, lub też są bardziej zawiłą kombinacją wzorów, jakie otrzymać można wogóle z przesuwania kół współśrodkowych.

Z chwilą kiedy odkryto zasadę konstruowania wzorów za pomocą metody przesuwania, otrzymano równocześnie wszystkie z niej wynikające ornamenty, które w ten sposób nie rozwijały się, jak to przedtem sądzono, stopniowo, lecz odrazu w pełnej swej okazałości zastosowane zostały do celów zdobnictwa ceramicznego. Najwybitniej okazuje się to w Siedmiogrodzie i Butmirze, gdzie właśnie najbardziej z konstrukcyjnymi wzorami zgodne ornamenty najliczniej i w najczystszej formie występują.

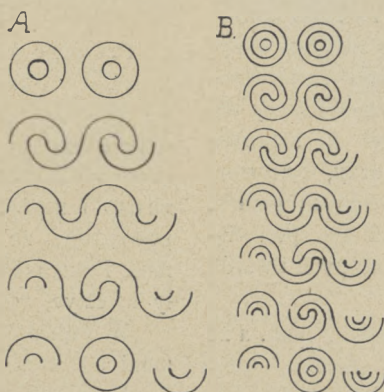
co do powstania, również w Siedmiogrodzie i Butmirze znane, kanciaste wzory, powstałe podobnie jak i ornament spiralny z przesuwania współśrodkowych kwadratów, prostokątów lub rombów.

Zdobnictwo spiralne, jak to już wyżej wspomnieliśmy, za stosowywane było do dekoracji naczyń także i w neolitycznej ceramice zachodnich i środkowych Niemiec, ale nie jest ono tam tem samem, co w swej ojczyźnie Siedmiogrodzie lub Butmirze. Uważać je można jedynie za nieudane naśladownictwo obcych wzorów, jednak bez znajomości konstrukcyjnej zasady przesuwania, która jedynie otwierała drogę nowym pomysłom w tym kierunku. W Egipcie jednak, a jeszcze pewniej w Peru powstała ornamentyka spiralna całkiem samoistnie bez jakichkolwiek obcych wpływów, lecz również dopiero z chwilą obeznania się z zasadą przesuwania.

Nakoniec jeszcze wyjaśnić należy, co przyczynić się mogło do odkrycia tej w istocie swej tak prostej zasady konstrukcyjnej przez człowieka przedhistorycznego. Dr. A. G. Wilke przypuszcza, iż nastąpić to mogło najprędzej w czasach, kiedy znano już barwnie tkane materye, zdobione pojedynczymi kółkami lub kwadracikami. Przez zeszyte osobnych kawałków podobnej tkaniny lub też przy samem tylko jej sfałdowaniu się mógł uderzyć człowieka nowy powabny ornament, przyjęty chętnie do niezbyt jeszcze naówczas obfitego zasobu mo-



Rys. 12. Naczynia gliniane z Butmiru; 13 i 14 czerepy gliniane z Butmiru; 15 skorupa z Butmiru ze spiralą odpowiadającą czterokołowemu wolutowi; 16 skorupa zdobiona współśrodkowymi kołami; 17a naczynia gliniane z Butmiru zdobione wolutem z pięciu kół; 17b ornament wolutowy powstały z pięciu kół współśrodkowych.



Koła współśrodkowe.

tywów zdobniczych. Również uświłowienie złożenia pojedynczych kawałków zbitego naczynia, ozdobionego kółkami w rodza-



ju przedstawionego na rys. 16 mogło naprowadzić człowieka na tak proste, a jednak prawdziwą skarbnicę ornamentyki stanowiące odkrycie.

Tak więc w jednych okolicach posługiwano się w dekoracji ornamentem spiralnym, a względnie meandrowym (powstałym przez przesuwanie współśrodkowych kwadratów), w innych zaś ornamentem, wynikającym z naśladownictwa techniki plecenia, obydwaj jednak sposoby posługują się kombinacjami figur geometrycznych, ale jeden i drugi w całym odmiennym zakresie i zastosowaniu.

Przytem mimo tej wspólnej cechy wzięły one początek z tak różnych i odmiennych, jak widzieliśmy, przyczyn, iż poza tem nie można bezwarunkowo zauważyć w nich żadnej właściwości wspólnej lub choćby tylko w pewnych szczegółach zbieżnej. Rozwijając się długie wieki zupełnie niezawisłe jedna od drugiej, z czasem zeszyły się razem i w zespoleniu swem złożyły się na ornamentykę, znaną u schyłku wieków przedhistorycznych, a pokutującą dotychczas jeszcze w wiejskiej naszej ceramice i zdobnictwie wogóle.

*B. Janusz.*



## Wrażenia z wycieczki zimowej w Tatry.

„Wycieczka wyrusza, wtorek“, krótka i węzłowa, lecz jakże ważna wiadomość! Czempredzej manatki do ręki i nie lotem błyskawicy, lecz tylko największą szybkością, do jakiej są zdolne koleje nadwiślańskie, jazda do Krakowa.

Krótkie to wezwanie pochodziło od dr. L. Sawickiego, geografa, który wraz z p. Hinkiewiczem, zoologiem, przeprowadza systematyczne badanie jezior tatrzańskich. Wycieczka lutowa jest jednym z licznych, przedsięwziętych w tym celu badań, rozpoczętych w lecie zeszłego roku.

Pierwszego lutego wyruszyliśmy na noc z Krakowa do Zakopanego. Zanadto dobrze znana jest ta droga, aby można było o niej więcej powiedzieć nad to, że dzięki wrażliwości konduktora na błyszczącą koronę, znalazł się do naszego rozporządzenia cały wolny przedział i to drugiej klasy.

Zakopane! Kilka minut zamieszania i oczekiwania w wagonie i na stacy—i oto znajdujemy się na drodze ku właściwej wsi. Piersi z rozkoszą wciągają mroźne, suche powietrze; oczy, zmęczone po źle przespanej nocy, błądzą po białych polach, po ciemnych świerkach, uginających się pod ciężarem śniegu, po z rzałka porozrzucanych i wśród drzew ukrytych willach.

Godzina jeszcze wczesna, zaledwo 7 rano. a że to i święto, więc wszyscy jeszcze uspieni, okna szczerlnie pozasłaniane, na ulicy zaledwo kilku górali.

Pierwszą troską było pokrzepienie sił fizycznych, zatem znalezienie jakiejś jadłodajni. Udało się to po dość długich poszukiwaniach, bo naogół zakłady tego rodzaju były jeszcze pozamykane. Po


wypiciu odpowiedniej ilości kawy, zagryzionej dość marnymi bułkami (niczego innego niestety o tej porze nie można było dostać), zabraliśmy się do poczynienia ostatecznych przygotowań do wycieczki. A więc najpierw wizyta u przewodnika, który ma towarzyszyć wyprawie. Het, na Kasprusiach, nieduży dom pośród drzew nad strumieniem. Po kilku schodkach wchodzi się do małej sionki, a stąd do sporej izby. Dwa drewniane łóżka, kilka krótszych i dłuższych ław, parę krzesel i komin — stanowią umeblowanie; ściany pozawieszane rozmaitego rodzaju strojami. Gospodarzy zastaliśmy przy śniadaniu: na niskim stołku stoi duża miska pełna pęcaku z mlekiem,—z niej pojadają rodzice i dwoje dorosłych dzieci, na ziemi, z drugiej miski pożywia się kilkoro drobiazgu.

Przyjęcie proste, ale serdeczne, jak starych znajomych. „Panie, a co tam słyhać w Krakowie, we Lwowie? A niechno pani powiedzą co więcej o powodzi w Paryżu, o jej przyczynach“, zwrócono się do mnie, dowiedziawszy się, że znam to miasto i niedawno stamtąd powróciłam, — „bo to powiadają, że ta powódź to jest zesłana na ukaranie Francuzów za odebranie kościołów“. Oto były kwestye, interesujące górala.

W czasie tej rozmowy gospościa ustawiła przed nami ogromne szklanki, pełne doskonałego mleka.

Następnie pogawędka schodzi na rzeczy bliższe: narada nad tem, co zabrać ze sobą, jakie narzędzia mogą być potrzebne do rozbijania lodu, i t. p.

Po godzinnej przeszło wizycie wędrujemy dalej, bo niejedno jeszcze jest do załatwienia. Na-



reszcie koło południa uspokojeni, że droga do Morskiego Oka jest możliwa do przebycia, że wszystkie przyrządy i narzędzia są na miejscu, po rozmówieniu górala z sankami, rozchodzimy się każdy w swoją stronę, ażeby odpocząć i nabrać sił do oczekujących nas trudów.

Jutro o 8 rano na Toporowy Staw.

Czwartek. Pogoda śliczna, niebo lekko zachmurzone, ale góry widać, jak na dłoni. Sanki mkną żywo przy wesołym dźwięku dzwonek, choć droga idzie prawie ciągle pod górę. Po godzinie jazdy zatrzymujemy się: podróż sankami skończona. Trzeba przeładować na nasze plecacy zawartość sanek: worki, liny, linki, pudełka z ciepłomierzami, narty, drążki i t. p. utensylia.

Przed dostaniem się do Toporowego Stawu pod Cyrłą, położonego na wysokości 1095 m., oczekuje nas 15 — 20 minut drogi pieszej. Początkowo droga jeszcze dobra, utarta przez sanki, ale już po kilku minutach skręcamy na śnieżne manowce. Teraz rozpoczyna się prawdziwa praca, co chwila nogi zapadają w śnieg po kolana, raz po raz trafia się na przeszkody w rodzaju zwalonych pni drzewnych, a obcięte i przysypane śniegiem gałęzie tworzą miejscami prawdziwe pułapki. Wreszcie jeszcze jeden wysiłek — i jesteśmy u celu.

U stóp naszych biała, zasłana śniegiem powierzchnia stawu bajecznie odbija się od ciemnego obramowania świerkowego lasu. Brak jednak czasu nie pozwala podziwiać długo tego pięknego widoku. Dalej do roboty! Pierwszym czynem było odślusowanie wielkiego głazu, który już służył jako punkt wyjścia dla pomiarów, dokonanych latem. Po ustaleniu tego punktu jezioro zostało pokryte siatką pomiarów i znakami, gdzie miały być zrobione przeręble. Przy zejściu na staw zaskoczyła nas bardzo niemiła niespodzianka, — oto pod warstwą świeżego śniegu, liczącą od 25—40 cm., znaleźliśmy śnieg z wodą; chociaż warstwa mokrego śniegu była dość nikła, zwykle poniżej 10 cm., dała się ona dobrze we znaki, gdyż dzięki niej nogi nieraz użyły zimnej kąpieli. Dopiero pod tą warstwą mokrego śniegu znajdował się lód gruboziarnisty — 25 cm., a na samym spodzie lód czysty, krystaliczny 8—10 cm. Przy brzegu warstwa śniegu dochodziła do 60 cm. grubości. Na powierzchni jeziora, przestrzeni około 6000 m<sup>2</sup>, zostało zrobione 5 przerębli dla pomiarów ciepłoty, głębokości oraz dla połowu planktonu i wreszcie lód, tworząc stały punkt oparcia, dawał możliwość dokładniejszego wykonania pomiarów głębokości. Tym sposobem obserwacje obecne były poniekąd sprawdzeniem obserwacji letnich.

Uwarstwienie wody pod względem ciepłoty okazało się najzupełniej normalne. Na powierzchni temperatura wody wynosiła 0,2 C., z opuszczaniem włąb stopniowo zwiększała się, aż na głę-

bokości 3 m. doszła do + 4,00<sup>o</sup> a na 5 m. + 4,02. (Wiadomo, że w zimie uwarstwienie wody jest odwrotne niż w lecie i najcieplejsze warstwy znajdują się na dnie).

Połów okazał się też bardzo pomyślny i obfity, przeważał gatunek Daptria.

Prace te zajęły nam cały dzień. Zostały one tylko urozmaicone niedługą przerwą w południe, użytą na pokrzepienie sił i ogrzanie się przy ogniu, roznieconym z całego świerka. Kiełbasa smażona nad węglami na drewnianym rozżnie, trochę przypalona, trochę przypruszoną popiołem stanowiła podstawę posiłku.

Przez cały czas pobytu na Toporowym Stawie pruszył drobny śnieg, płatki padały równiutko, prostopadle, bez najmniejszego śladu wiatru — ta ostatnia okoliczność nadzwyczaj szczęśliwa dla wycieczki.

Dopiero koło godz. 4-ej dał się odczuć wiatr trochę żywszy, zwykły codzienny objaw, wywołany różnicą temperatury między szczytami i dolinami po zachodzie słońca.

Koło godziny piątej zapadający zmrok zmusił nas do odwrotu. Tego samego wieczora dał się nam zanotować bardzo ciekawy fakt, wykazujący względną niezależność jednej doliny od drugiej pod względem meteorologicznym. Jak już wyżej zostało wspomniane, w kotlinie Toporowego Stawu przez cały dzień było zupełnie spokojnie, tymczasem przy wjeździe do Zakopanego schwycił nas gwałtowny wicher, który tu panował prawie przez cały dzień i przeciągnął się długo w noc.

Po skończeniu prac na Toporowym Stawie zostały jeszcze do zbadania Morskie Oko i Czarny Staw nad Morskiem. Dlatego też bez straty czasu następnego dnia wyruszyliśmy w drogę.

Obecnie wyprawa składa się z dwóch par sanek, bo droga miejscami bardzo zła i łatwiej jest przejechać jednym koniem. Posuwamy się naprzód dosyć wolno, lecz nic na tem nie tracimy, gdyż okolica warta jest, żeby jej się dobrze przypatrzeć. Pogoda bajeczna, niebo bez chmurki, góry błyszczą w słońcu, chwilami aż oślepiają swym blaskiem.

Na drodze widać często ogromne głazy granitu, ślady pobytu lodowca. Nieco wyżej, na stokach gór wyraźnie występują pokryte gęstym świerkowym lasem boczne moreny, szczególnie dobrze widoczne w dolinie Białego stawu i poniżej samego Morskiego Oka. Konie posuwają się powoli. Górale, dla dodania ochoty i sobie i koniom, zaczynają śpiewać. Jaki dziwny śpiew — zupełnie różny od tego, jaki daje się słyszeć u nas na nizinie (mam na myśli Siedleckie). Melodya oryginalna, lecz dość monotonna, nie słyhać bardzo wysokich nut, widocznie górale nie hołdują modzie, że „im cienie i głośniejszy, tem ładniejszy“.

Koło południa dojechaliśmy do Rostoki; górale zabrali się do popasania koni, myśmy powędrowali obejrzeć wodospady. Wodospady Mickiewicza, oprócz swej piękności, są ciekawym zjawiskiem geograficznym. Mamy tu bajeczny przykład progu, oddzielającego dawną boczną lodowcową dolinę od doliny głównej; obecnie próg ten jest w części zniszczony, a w części poszarpany i podzielony na kilka kaskad przez odpływ 5 stawów polskich, tworzący w tem miejscu kilka wodospadów.

Od Rostoki droga jeszcze gorsza, aż nareszcie pod Wantami ślad wszelki ginie—trzeba robić nową drogę. Górale idą przodem, ażeby choć trochę utorować koniom drogę, my, jako istoty słabsze, podążamy dopiero za sankami—pomimo tego droga jest bardzo ciężka i męcząca. Na chwilę naszą uwagę odrywa od tych przyjemności drogi widok kilku kozic, które lekkim krokiem wędrują po śnieżnych zboczach gór. Czemu to my nie możemy chodzić tak lekko—wyrwa się ciężkie westchnienie.

Ha, cóż robić, dalej bniemy w śniegu, aż nareszcie koło 3-ej dobiliśmy do schroniska w Morskiem Oku.

Konie zabrały się do spożywania obroku, górale powędrowali do ogromnej kuchni hotelowej dla rozgrzewki i odpoczynku, tylko dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wczasu. To dopiero 3-cia p. p., jeszcze 2 godziny czasu do zmroku, a więc dalej do pracy. Po zbadaniu, czy wszystkie rzeczy są w porządku i nic nie zostało zgubione, ruszamy na jezioro. Pierwszemu zaraz krokowi na śnieżną toń jeziora towarzyszy okrzyk przykrego zdziwienia: nogi zapadają się w śnieg dosyć głęboko i naraz stopy przenika niemiły chłód—więc i tu pod śniegiem znajduje się woda. To przechodziło nasze oczekiwania. Wszystkiemu winna tegoroczna zgnęła zima.

Pomimo tej niemiłej przeszkody zabrano się zaraz do oznaczenia miejsc, gdzie miały być porobione przeręble.

Nie mam zamiaru opisywać dzień po dniu, jak się spędzało czas, byłoby to zanadto jednostajne, podam tylko ogólny obraz robót, przeprowadzonych na Morskiem Oku.

Na całej powierzchni jeziora zostało przebitych 13 przerębli, z tych 7 na najdłuższej średnicy, idącej od schroniska do stóp Mięgoszowieckich. W każdej z tych przerębli była badana najpierw skorupa stała. Warunki panują tu podobne do zanotowanych na Toporowym. Na wierzchu warstwa świeżego śniegu, grubości 0·20—0·50 m., następnie śnieg mokry z wodą 0·30—0·35 m., lód gruboziarnisty 0·35—0·40 m. i na koniec lód czysty, krystaliczny 0·10 m., przyczem nieraz nadzwyczaj dokładnie można było oglądać przyzmy, tworzące ten lód.

Następnie była badana ciepłota wody w rozmaitych głębokościach; w tym celu opuszcza się w wodę butelkę, którą odkorkowuje się na danej głębokości—temperaturę mierzy się już na powierzchni, po wydobyciu butelki z wody. W jednej z przerębli temperatura wody była mierzona co 3 godziny, a to dla zanotowania dziennych wahań; nie były one bardzo znaczne i dały się odczuć tylko w warstwach bliżej powierzchni; poniżej 15 m. temperatura była stała.

Wogóle woda Morskiego Oka okazała się dosyć chłodna, na głębokości 30 m. wskazywała jeszcze zaledwo  $+3^{\circ}$  z małymi dziesiątymi.

Przez cały czas naszego pobytu temperatura powietrza była dość jednostajna, łagodna. Raz tylko udało się zanotować nadzwyczaj raptowną zmianę. Po dniu bardzo pogodnym i ciepłym, wieczorem koło g. 4-ej temperatura powietrza wynosiła  $-1^{\circ}\text{C}$ , koło g. 6-ej termometr wskazywał tylko  $-14^{\circ}$ . Skok wcale ładny. Można go wytłumaczyć nadzwyczajnie silnym promieniowaniem śniegu. Wieczorem o 8-ej chmury zasłoniły niebo i ciepłota powietrza nagle podniosła się do  $-4^{\circ}$ . Ślady tej nagłej zmiany temperatury odnaleźliśmy na drugi dzień jeszcze przy badaniu ciepłot samego śniegu. Ranek był pochmurny i spadała warstwa śniegu 1—2 cm. grubości, ciepłota jej wynosiła  $-0\cdot1^{\circ}$ ; o 5—10 cm. niżej temperatura śniegu spadała raptownie do  $-1\cdot6^{\circ}$ , ażeby poniżej podnieść się znowu do  $-0\cdot90^{\circ}$ .

Raptowne obniżenie ciepłoty śniegu odpowiadało akurat warstwie, wystawionej poprzedniego wieczora na silne bardzo promieniowanie.

Nakoniec we wszystkich przeręblach była wymierzana głębokość, głównie dla sprawdzenia pomiarów, dokonanych w lecie. Największa otrzymana głębokość wynosiła 53,8 m. Odpływ i przypływ Morskiego Oka dostarczyły nam naturalnych przerębli, gdyż obydwa były niezamarznięte. Woda przypływu—Siklawy, spływającej od Czarnego, jest nawet dużo cieplejsza od wód jeziora  $=+3\cdot1$ .

Przypadkowe odkrycie wykazało nam, że skorupa lodowa unosi się swobodnie na wodzie, nie jest przymarznięta do brzegów—przeciwnie, dzieli ją od wybrzeży szczelina, mająca do 20 ctm. szerokości, miejscami zasypana śniegiem, miejscami dobrze widoczna. Uwaga nasza na to zjawisko została zwrócona dzięki tylko kilkakrotnemu zapadnięciu się kilku członków wyprawy, przy wystawianiu się z jeziora na brzeg. Istnienie szczelin wyjaśnia nam pojawienie się wody nad lodem, a pod śniegiem w ten sposób, iż skorupa lodowa zapadająca się na powierzchni jeziora wyciska wodę jeziorną ponad lód.—Roboty na Morskiem Oku trwały całe 4 dni. Przez ten cały czas natura jakby chcąc wynagrodzić nasze trudy, nie szczędziła swych

uśmiechów. Zaraz pierwszy poranek dał nam możliwość podziwiania precudnego wschodu słońca. Koło g. 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> szczyty Miedzianego zaczęły lekko płońać, precudny blade-różowy blask kładł się na góry, śniegi zdawały się ożywiać przy dotknięciu tej jasności. Niestety, cudne to zjawisko trwało zaledwo kilka minut — blask słońca wzmagal się, lecz ciepłe, różowe tony zginęły... Powierzchnia jeziora pozostawała jeszcze w cieniu. Naraz, koło 9-ej snop iskier wytrysł za szczytem Żabiego Konia.

Tarczy słonecznej nie było widać, a tylko drgające, mieniające się wszelkimi kolorami tęczy promienie. Nareszcie ukazało się i samo słońce, lecz niedługo darzyło nas swem ożywcem ciepłem, już o 12-ej skrywając się za szczyty Miękusowieckie. Na pożegnanie przysłało nam jeszcze jedno cudne zjawisko: oto wokoło słońca na ciemno-błękitnym niebie bardzo wyraźnie ukazała się tęcza, odbita kilkakrotnie.

(d. n.)

*Regina Danyszówna*



## DO DZIEJÓW KASZTANOWCA.

Do bardzo pięknego artykułu o kasztanowcu (Ziemia N-r 23) ośmielam się dorzucić słów kilka nie jako naturalista, lecz filolog-slawista. Pozwalam sobie mianowicie przedewszystkiem przypomnieć, co o dziejach t. z. kasztana powiada prof. dr. Józef Rostafiński w swem znakomitem dziele: „Średniowieczna historia naturalna“, na str. 130: „Nie mam żadnej wątpliwości—powiada prof. Rostafiński—że to drzewo było w średnich wiekach u nas hodowane. Marcin z Urzędowa (wiek XVI) stwierdza to stanowczo nie tylko co do samego Krakowa, ale pisze, że nawet „w Warszawie jest wiele sadów kasztanowych“. Lecz to rzecz niezawodnie i szanownemu autorowi artykułu o kasztanowcu wiadoma, dodam więc jeszcze tylko to, co mnie przedewszystkiem skłania do uwagi następującej.

Oto w gągoliczkich zabytkach języka starosłowiańskiego kasztan zowie się *kostań*, z czem zgodnie zowie się on po serbsku i kroacku *kostań*, bo bułgarsku *kosten*. Po polsku więc powinniśmy zgodnie z tem mieć formę *kostań*, nie *kasztan*, która to ostatnie postać wyrazu wydaje się być późniejsza, na łacińskim wyrazie *castanea* oparta. Jakoż w mojej rodzinnej wsi (Stale, pow. tarnobrzeski w Galicyi), powstałej wśród

dawnej puszczy sandomierskiej, mamy pastwisko, zwane *Kostaniec* (w gwarze ludowej *kosteniec*, gdyż w niej tutaj czyste a wymawia się przed *n i m*, jak *e*: *rena peni*, *kenia* = *rana*, *pani*, *kania*).

Nazwa zaś *Kostaniec* (2-gi przypadek *kostańca*), uformowana od *kostań*, oznacza miejsce, gdzie niegdyś rosły *kostanie*, jak nazwa *Lipowiec*, *Grabowiec*, *Tarnowiec*, *Wiśniowiec* i t. d. oznacza miejsce, gdzie niegdyś rosły *lipy*, *grab*, *ciernie* (*tarny*), *dęby*, *cisy*, *grusze*, *wiśnie*, a *Kamieniec* miejsce *kamieniste*.

Wynikałoby z tego, że nie tylko znaleźmy u siebie *kasztan* w wiekach średnich, ale i nazwaliśmy go niegdyś nieco inaczej, formą starosłowiańską *kostań*, lecz co do tego starożytnego nazywania *trzebaby* więcej dowodów, których mogą dostarczyć nazwy miejscowe, a do których zbierania słusznie tak gorąco nawołuje czcigodny i tak zasłużony *Gloger*. A że na Rusi i u nas musiały być miejscowości, przewzane od *kostani*, dowodem tego nazwiska *rodowe* po dziś dzień istniejące, jak *Kostański*, *Kostaneccki*, oparte o miejscowości: *Kostanie*, *Kostanec*.

*S. Matusiak.*



# Portal w Czerwińsku.

W odwiecznym — Duninowskiej fundacji — kościele czerwińskim, pamięć o którym dzięki wspomnieniom i uroczystościom grunwaldzkim wypłynęła ponownie na wierzch, dokonano jednego z najbardziej interesujących odkryć architektonicznych. Było faktem bezspornym i znanym powszechnie, że niektóre przynajmniej części prastarej świątyni sięgają czasów bardzo zamierzchłych, że na równi z niewielką u nas ilością zabytków sztuki romańskiej, są żywym, niezagasyłym w ciągu ośmiu stuleci śladem i pamiętką i pierwszych przebłyków życia artystycznego w Polsce i przemożnej hojności fundatora. Ale tych murów sędziwych niezawsze umiejętna i życzliwa dotykała się ręka. Już wiek XVII uznawał, że kościół, choć jest „trudną nader i ogromną pracą“, zagraża ruiną, że „starożytną i niezgrabną budowę“ trzeba wzmocnić, poprawić i — upiększyć. Jak się takie upiększenia u nas i nie u nas odbywały przy owoczesnym ciasnym i wyłącznym pojmowaniu piękna, przy nieodczuwaniu ducha i wyrazu przeszłości, wiemy niestety aż nadto dobrze. I oto stało się, że jeden z najpiękniejszych szczegółów architektonicznych — starożytny portal wejściowy — zamurowano poprostu cegłami, a dla uwieńczenia dzieła przykryto chórem organowym, który uniemożliwił dostęp. W tym stanie przetrwał zabytek w pra-



Fot. M. Wisznicki.

wdziwie „kamiennem uśpieniu“ z górą półtrzecia stulecia. I trzeba było dopiero niezmordowanej gorliwości obecnego proboszcza ks. Gruberskiego, który zamierające mury chce koniecznie do życia

powrócić, trzeba było szczęśliwego domysłu budowniczego Szyllera, żeby żywcem po-grzebany portal ujrzał światło dzienne ponownie. Okazało się przytem, że razem z ciekawymi wnękami i kamiennymi wokół biegnącymi ławami tworzy on piękny i arcyciekawy babiniec, że we wnękach dochowały się nietylko stare tynki z napisami, ale i szczątki dawnych ark kościelnych (w postaci oddzielnych kamieni).

Poza tem u stóp ściany chórowej, po odsu-

nięciu znajdującej się tam od 1713 r. ławki, ujrano kamień mający niewątpliwie cechy XIII st. i pochodzący prawdopodobnie z grobowca ks. czerwińskiego, Konrada, którego dotychczas nie umiano odnaleźć, choć pochowanie go w kościele czerwińskim nie ulegało wątpliwości.

I wolno jest wyrazić przypuszczenie, że gdyby celowa i umiejętna restauracja gmachów czerwińskich była przeprowadzona niezwłocznie, gdyby znalazły się środki, o które dość bezskutecznie dotychczas ks. Gruberski kolacze, uratowanoby jedną z najwznieczniejszych pamiętek w Polsce i niejednoby jeszcze może wzbogacające stan wiedzy odkrycie uczynić zdołano.





# SOSNA NAPOLEONA I.

Jadąc pasem pogranicznym granicy pruskiej z Jurborga do Taurogów, każdy z podróźnych zauważy niechybnie stojącą po lewej stronie pocztowego traktu (na 21 wiorście) śród jodłowego boru olbrzymiej grubości nawpół już uschniętą sosnę, okoloną sztachetami z obrazkiem świętym czy też tablicą, wyblakłą zupełnie od słońca i deszczu, i wrytymi czy też wypalonymi w czerwonej korze śladami liter  $N-A$  i koroną.

Zapytani przezemnie okoliczni mieszkańcy tyle mi zaledwie mogli oświecić w tej kwestyi, że jest to sosna Napoleona I-o, pod którą w czasie kampanii rosyjskiej ów władca połowy Europy miał chwilowy wypoczynek i spożył śniadanie czy też obiad ze swym sztabem.

P. Jurkiewicz, miejscowy obywatel (i zarazem naczelnik ziemski pow. rosieńskiego) doradził mi przejrzeć roczniki urzędowo-statystyczne gub. kowieńskiej z ostatnich lat, w których mógłbym znaleźć rozwiązanie zajmującej mię tak żywo kwestyi. Jakoż w roczniku za rok 1902 znalazłem opis (przypuszczalny) faktu, jaki miał miejsce w owym lesie na trakcie pocztowym prawie w pół drogi pomiędzy Jurborgiem a Taurogami.

Autor opisu, radca rządu gubernialnego kowieńskiego, na zasadzie poszukiwań archiwalnych podaje do wiadomości:

„W czasie kampanii 1807 r., zażegnanej na czas niejaki traktatami w Tylży, Cesarz Aleksander I zamieszkał czasowo w Jurbor-

gu w pałacu hr. Zubowa (obecnie dobra majoratu obejmujące obszar 36.000 dziesięcin ziemi, należące do ks. Wasilczykowa). Napoleon I, zająwszy ze swym sztabem pograniczne Taurogi,

rozstawił swe forty na granicy pruskiej i rezydował w byłym pałacu Radziwiłłowskim (obecnie gmach komory celnej). Było więc bardzo możebne, że w czasie przedwstępnej ugody o pokój, zawarty w Tylży w namiocie, zbudowanym na pontonie na środku Niemna, obaj cesarze mogli się zjechać w tym właśnie miejscu, w pół drogi od miejsc swego czasowego pobytu, uświetniając swą bytność śniadaniem czy też pochodowym obiadem wobec swity, jenerality i całego sztabu“.



SOSNA NAPOLEONA I.

Mal. W. Leszczyński.

Upamiętniając dla potomności spotkanie obu cesarzy pod sosną, ktoś zapewne z miejscowych obywateli zawiesił na niej święty obrazek czy też tabliczkę z datą spotkania, ogrodził, zabezpieczając od szkodników, i wrył inicjały, których ślad dotychczas jest widoczny.

Od owego spotkania po dziś dzień upłynęło przeszło sto lat; niemałe więc i w tym czasie musiało być drzewo, dające swym cieniem ochronę od letniej spiekoty a zarazem i chwilowy spoczynek ukoronowanym gościom.

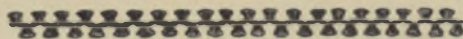
W roku 1907 w czasie, gdym szkicował ową pamiątkową sosnę, była ona już od wierzchołka szerniała, uschnięta, ociekła żywicą jak większość starych drzew iglastych. W tymże roku jesienią uderzeniem pioruna została do połowy strzaskana i dziś



sterczy tylko jej pień, suchy, żyłasty, ale olbrzymi jeszcze w stosunku do okalających ją drzew. Minie lat parę, kilka najwyżej, ząb czasu zgryzie i pozostała reszta, a gdy znikną ostatnie ślady przy-

żanego spotkania dwóch mocarzy świata w tym miejscu, zniknie zarazem w tradycji ludu miejscowego i pamięć o sośnie Napoleona I-go.

*Wł. Leszczyński.*



## Sven Hedin w Tybecie.

121

Dzień był wietrzny i o zachodzie słońca do linę załało jakieś szczególne czerwono-żółte światło, w którym wirowały tumany unoszącego się w powietrzu pyłu. Ale na drugi dzień rano wiatr spadł i czyste jak lza niebo sklepiło się wspaniale nad zbliżającą się do celu karawaną. Po krótkiej radzie wojennej ruszono w drogę. Że zaś chytryść popłaca tyleż co zuchwalstwo, uradzono wziąć Szigatse podstępem.

Miał zatem jawnie i otwarcie Mubamed-Iza iść na czele karawany brzegiem rzeki. Jeżeli uda mu się dojść do miasta, tem lepiej; jeżeli zatrzymają go przemocą—nie wszystko jest jeszcze stracone, bo Hedina w karawanie nie będzie. Już czekają na brzegu dwie wynajęte łodzie miejscowe, któremi spłynie on tak daleko, jak tylko będzie możliwe, i potem boczną dróżką mniej widoczny i mniej zwracający uwagi wślizgnie się pokryjomu bezmała w samo serce świętej stolicy.

Łodzie są dosyć dziwnej konstrukcyi. Jest to poprostu szkielec czy rusztowanie z drzewa, obciągnięty czterema zeszytami ze sobą skórą yaków; wiosłarz i zarazem sternik w jednej osobie siada z tyłu twarzą do przodu i dwoma rozdwojonemi jak widelce wiosłami, obszytymi skórą, nadaje łodzi kierunek i przyspiesza bieg. Z powrotem, że bieg jest bystry, nie wraca się wodą, tylko wyciągnąwszy łódź na brzeg i obsuszywszy ją nieco, niesie ją się na plecach, co zresztą nie przedstawia wielkich trudności, bo przy takiej budowie łódź nie waży więcej, niż średniej tuszy i wzrostu człowiek. Trudno nie przyznać, że jest to praktyczne i proste.

Szybkość biegu jest natomiast bardzo rozmaita. Gdzie się rzeka rozlewa szeroko, łódź idzie wolno, bo wiosła raczej do sterowania niż do powiększenia szybkości służą. Czasem zdaje się nawet, że bieg ustał zupełnie i tylko spojrzawszy na brzeg lub przez przezroczystą wodę na dno, widzi się, że jednak łódź posuwa się dość szybko. W miejscach natomiast węższych prąd rwie mocno i brzegi uciekają wstecz z zawrotnym pośpiechem. Są zaś i takie miejsca, gdzie ściśnięta ka-

miennymi brzegami masa wody formuje jakby—łagodnie zresztą—wodospady, po których łódź zślizguje się jak strzała.

A tymczasem na brzegach rozwija się jedna z najwspanialszych sceneryi, jakie można sobie wymarzyć. Czasem brzegi są płaskie i szeroko, jak okiem zasięgnąć, ścięła się płaszczyna doliny rzecznej, jednej z największych dolin w świecie, którą w czasie powodzi woda zalewa do okiem niedosięgniętych kresów. Potem znów, jak słup czarnej i groźny, stojący u brzegu na warcie, piętrzy się skalisty pagór wysoko, tyle ledwo u stóp swych zostawiając wolnego miejsca, żeby przepuścić jadące karawany pielgrzymów albo przewoźników niosących w górę rzeki swe łodzie. Jeszcze dalej rozlewa się toń wodna szeroko, majestatycznie jak wielkie jezioro, w którego wodach odbijają się okalające je wieńcem góry i łodzie, miękko i bezgłośnie ślizgające się po powierzchni wód, których najmniejsza zmarszczka nie kazi. Pod wspaniałą, niepokalanej czystości kopułą nieba woda z zielonkawej przechodzi w najczystszy, głęboki błękit, w którym się wszystko naokół roztopia. Tylko od północnego brzegu różowieją wysokie pagórki, tylko lśnią się i połyskują niekiedy w tej miękkiej, przelewającej się toplieli półtonów płynące tuż obok łodzi kry, które czasem lekkim, powolnym ruchem unoszą się ku górze, jakby chciały stanąć na nogi i popatrzeć przed siebie na rzekę. Na brzegach pełno jest dzikich gęsi, które krzyczą za zbliżeniem się łodzi, czarnych i białych kaczek, czapli i najrozmaitszego dzikiego ptactwa, które zresztą wcale nie jest płochliwe, jakby wiedziało, że w pobliżu świętej stolicy niewolno nikogo życia pozabawiać.

Wszystko razem jest to tak w swojej szlachetnej prostocie bajeczne, że po kilkakroć napada Hedina szalona chęć płynąć tak dalej i dalej, aż do Lassy, do wielkiej stolicy Tybetu. Oczywiście po chwili namysłu pomysł ten nie wytrzymuje najlżejszej krytyki i zamiast jechać do znanej i opisywanej już przez europejczyków Lassy, stokroć bardziej ciekawsze zatrzymać się w Szigatse, ale na



ŁODZIE TYBETAŃSKIE.

rzece jest tak pięknie, że myśl o wyjściu na brzeg staje się bezmała przykrością. Oczywiście, zamiast płynąć do Lassy, czyż nie lepiej wrócić się potem wstecz, czyż nie jest ciekawsze zbadać tajemniczą, zgoła prawie dotychczas nieznaną rzekę Raga-tsangpo, lewy dopływ Bramaputry, o której Tybetańczycy mówią, że jest tak niemal jak Bramaputra potężna i która być może jest właściwie główną rzeką, a nie dopływem. Toż nie było tam na pustyni dnia niemal, kiedyby pośród bezsennej nocy, nie starał się podróżnik rozgryźć tej zagadki, kiedyby nie ślezczał kilka godzin nad mapą—miał-żeby ją teraz porzucić? Teraz kiedy połyskujące w słońcu fale, na których łódź miękko płynie, idą jakby w poselstwie od topniejących krawędzi wiecznych lodowców, od błękitnych gleczerów i grot zielonych, ciemniejących w podniebnych wysokościach Himalai, od tajemniczych skał, z których wytryskuje Bramaputra spieniony, teraz nie jest czas do cofania się, do zboczenia choćby o jeden włos.

Więc raczej zamiast się w bezplodnych marzeniach zatapiać, żywo do roboty, której tu na łodzi nie braknie—do pomiarów, do szkicowania jednego za drugim widoku, do notowania nazw, do przyglądania się przepływającym się łodziom z pielgrzymami chociażby. Tych niebrak przynajmniej. Płyną po dwie czasem, dla większej równowagi związane, wypełnione ludźmi po brzegi, niekiedy wysypane piaskiem i wyłożone kamieniami, na których pali się ognisko do gotowania herbaty. Widać, że towarzystwo jest przeważnie znajome, bo rozmowa z łodzi do łodzi toczy się wartko, śmiechy i dowcipy strzelają raz po raz jak rakiety, a na wkradającego się cudzoziemca nikt prawie nie zwraca uwagi. Tylko gdy Hedin wysiadłszy na brzeg skierowuje na większą nadpływającą grupę łodzi wylot swojego aparatu fotograficznego, zapanowuje chwila zakłopotanego mil-

czenia i potem szczere westchnienie ulgi, kiedy się już to zagadkowe, a niebezpieczne narzędzie minęło.

Ale na brzeg wysiadać często nie można, bo jeszcze droga daleka. Mały, bardzo pewny siebie Tybetańczyk, który z uśmiechem lekceważenia przyjmuje rady Hedina, steruje łódź pewną i śmiałą ręką w rozwidlające się raz po raz kanały i łąchy, które istotnie trzeba znać dobrze, żeby wśród nich nie zabłądzić. Ale tutaj nad brzegiem Bramaputry całe wsie żyją z przewoźnictwa i z odnoszenia łodzi w górę rzeki, więc w lekceważącym uśmiechu Tybetańczyka, który odbywa zapewne po raz tysięczny tę samą drogę, jest dużo racji. A szeroko oczy roztworzył dopiero wtedy, kiedy mu po ostatecznym wylądowaniu położono na rękę zapłatę, czterokrotnie zwykle przewoźne przewyższającą.

Już na brzegu czekał Guffaru z końmi i już staczało się spokojnie za widnokrąg czerwone słońce. Pod przewodnictwem Rabsanga, którego rodzimym językiem był tybetański, ruszyła mała grupka—Hedin, Robert i Guffaru—naprzód, wpytując się o drogę przejeżdżających mulników i pielgrzymów, którzy chętnie i grzecznie udzielali wskazówek.

Tuż na lewo od drogi prześwieca w zmroku wieczornym Nyang-czu, jeden z największych dopływów południowych Tsangpo (Bramaputry), wieś za wsią ciśnie się do jego brzegów, czasem jak widma bieleją pomniki tybetańskie—c z o r t y. A kiedy nareszcie na zapytanie, jak daleko do Szigatse, odpowiada z ciemności jakiś zapóźniony wędrowiec: „idźcie tylko drogą, zaraz się zacznie ulica“, czuje Hedin, jak mocno mu zaczyna bić serce, jak nową, ostatnią już falą uderza o nie niepewność, czy naprawdę uda się wejść do miasta. Ale oto już z prawej strony czerni się pagórek, a na nim niepewne kontury Szigatse-dsongu, ratusza miejskiego, oto już wązka ulica i białe domki, oto złe psy, które z przydrożnych podwórzy wybiegają z jazgotem, oto na szerszym placyku gromadka Chińczyków, wytrzeszczających oczy w osłupieniu. Pozatem



BRZEG BRAMAPUTRY.

nikogo; wjazd odbywa się bez przeszkód i bez uroczystości, miasto śpi, droga wolna. I po chwili, spotkawszy jednego ze swoich, wysłanego na zwiady, jest się w gościnie ofiarowanym przez Kung-Guszuka domu — u siebie—w Szigatse.

Na wstępie mała owacya. Muhamed-Iza na czele całej karawany składa takie powinszowania, jak gdyby zdobyto stolicę świata. I dalibóg—w danej chwili Hedin nie widzi w tem żadnej różnicy. Zresztą nie czas na rozmyślanie i na przemowy, trzeba raczej rozejrzeć się i roztasować co przędzej. Dom okazuje się zimną i brudną norą, w wziętym wyglądzie, więc rozbito na podwórzu namioty — Hedina, Roberta Muhameda Izy i Lada-ków—rozpalono potężny ogień, i wzięto się do przygotowania wieczerzy, która późno w noc dopiero była gotowa i która się—wierzyć można — wydała się królewskim bankietem, bo od wczesnego ranka nie miał Hedin nic w ustach na łodzi. Potem jeszcze parę godzin wykończania naszkicowanych w ciągu dnia rysunków i zasłużony ze wszech miar odpoczynek.

Niestety między kolacją a spoczynek wcisnął się nieprzewidziany szczegół, który pracę nieco przedłużył. Zgłosił się mianowicie ktoś ze świeckiego sztabu taszy-lamy, ktoś, co jak sam twierdził, był wprawdzie zbyt skromną figurą, żeby go tutaj na przyjęcie gości wysłano, ale który co na własną rękę dla użytku przełożonych chciał zebrać garść informacji.

Żadnych zresztą szykan, żadnych trudności, grzeczność iście wersalska, wyrażenie nadziei, że karawana nie zanadto ucierpiała w pustyniach Czang-tangu, zanotowanie nazwisk narodowości, celu podróży i pożegnanie w setnych ukłonach.

Kiedy natomiast cały dzień następny minął i nikt nietylko nie zatroszczył się, ale nie zapytał nawet o obcych, wysłał Hedin Mahmuda Izę w poselstwie do rezydencji jego świątobliwości, do Taszy-lunpo, którego złoczone dachy widać było doskonale z ogródka. A równocześnie z powrotem wysłańca, który na jutro zapowiedział wizytę jakiegoś wybitnego lamy, stanął u drzwi pan Ma, dowódca chińskiej siły zbrojnej na miejscu. Do Szigatse przybył dopiero przed pięciu dniami, dzięki czemu nie wiedział może o zbliżającej się karawanie; w przeciwnym razie uważałby za swój obowiązek niedopuszczyć obcych do miasta i czekać dalszych rozkazów swojej bezpośredniej, chińskiej władzy.

Teraz oczywiście, skoro fakt jest już dokonany, może go tylko przyjąć do wiadomości i razem z Hedinem dziwić się, jakim sposobem udało się europejczykowi dotrzeć bez przeszkód tak daleko do wnętrza Tybetu. Co do audyencji u taszy-lamy, trudno mu coś pewnego powiedzieć, jest to wszakże rzecz więcej, niż wątpliwa, skoro nawet on,

chiński urzędnik, nie mógł jej do tej pory użyć. Ha, zatem trzeba czekać i zdać się na bieg wypadków.

Na szczęście nie trzeba było czekać zbyt długo. Już o 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rano nazajutrz zameldowano nowych gości: Lobsang Tseringa, lamę wysokiej godności, jednego z sekretarzy taszy-lamy i Duan-Suena młodego chińczyka o bardzo dystygowanym wyglądzie. I znowu rozpoczęła się rozmowa od zdziwienia nad niespodziewaniem i nieoczekiwanem przez nikogo przybyciem cudzoziemca. A potem nowy, trzeci już wywiad, bardzo zresztą uprzejmie i delikatnie przeprowadzany, przyczem dla pamięci wszystko notowano, nie wyjmując narodowości podróżnika, o której wprawdzie obaj goście po raz pierwszy słyszeli, ale którą sobie zapisywali w jej szwedzkim, angielskim i chińskim brzmieniu. Wreszcie zdecydował się Hedin uderzyć prosto od czoła do szturm.

— „Mam zamiar być obecnym na dzisiejszych uroczystościach noworocznych. Nie mogę wyjechać z Szigatse, nie widząc tak wielkiej uroczystości kościelnej“.

To było przynajmniej naturalne do ostatecznych granic logiki i śmiałe—do bezczelności. Ale niestety strzał chybił. Na uroczystości, urządzonej wyłącznie dla tybetańczyków i dla pielgrzymów-współwyznawców żaden europejczyk dotąd wstępu nie miał i mieć w przyszłości nie będzie.

— Ależ Panczen-Rinpocze („święty nauczyciel, taszy-lama) musi już od dwóch miesięcy wiedzieć o mojem przyjeździe! Jego świątobliwość wszak wiedział z której strony zbliżam się, czego najlepszym dowodem wysłanie poczty do Dangra-jum-tso“.

— „Panczen—Rinpocze nie zajmuje się zgoła świeckimi sprawami; to należy do jego brata, księcia (Kung-Guszuka)“.

— „Jednakże ja muszę widzieć jego świątobliwość; wiem, że oczekuje mnie“.

— „Małej tylko liczbie śmiertelnych przyznana jest łaska stanąć przed obliczem świętego“.

Zatem mur, który chyba głową przebijać. W ostatniej chwili przychodzi Hedinowi na myśl list rady ze Stogh, ale to na dostojników nie robi najmniejszego wrażenia. I już zdawała się być sprawa bezpowrotnie stracona, kiedy dla spokoju sumienia raczej, niż z wiarą w jego skuteczność, wyciąga biedny podróżnik paszport chiński, wydany do... Turkiestanu. I aż się sam pewnie zdziwił, widząc jak wielkie oczy zrobili goście na widok niebieskiej koperty i czerwonych pieczęci lakowych.

— „Dlaczego pan tego nie pokazał odrazu. Zaoszczędziłoby to całej mitręgi?“

— Ależ dla tego, że paszport jest wydany do wschodniego Turkiestanu, a nie do Tybetu“.

— „To już jest — skoro się pan tutaj znajduje — całkiem wszystko jedno. Ma pan chiński paszport i od tej chwili jest pan pod chińską opieką“.

Mniejsza o logikę, mniejsza o subtelności. Dzięki niech będą chińskiemu posłowi w Londynie i ambasadorowi szwedzkiemu bar. Wranglowi, który się tą sprawą tak gorąco zajął i Anglikom, którzy, przycisnąwszy Hedina do muru, zmusili go do uzyskania tego cudotwórczego papieru.

Bo oto młody chińczyk, który się był z paszportem wydalil na chwilę, wraca z piorunującą

nowiną: wolno Hedinowi być obecnym na uroczystości, dla niego i dwóch ludzi z jego karawany będą przygotowane miejsca i jeden z dworzaków jego świątobliwości zgłosi się zabrać ich do klasztoru, skoro czas stosowny nadejdzie. To już wszelkie najśmielsze marzenia przekracza. To jest bezmała kartka z fantastycznego romansu.

(c. d. n.)

St. Th.

## Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



Stosownie do zapowiedzianego programu wycieczki na Litwę w sobotę d. 25 czerwca pociągiem wieczorowym z dworca petersburskiego wyruszyła z Warszawy dwoma wagonami wycieczka w ilości 37 osób pod kierunkiem K.

Kulwiecia. Pomimo deszczu, który w ciągu pierwszych dni wycieczki w Kownie i Wilnie lał co parę godzin jak z cebra, plan wycieczki wykonany został we wszystkich szczegółach bez żadnej zmiany. W Kownie zwiedzono Muzeum Miejskie, gdzie objaśnień i wskazówek udzielał kustosz p. Tadeusz Dowgird; szczególnie pouczająco są tam uporządkowane i należyście utrzymane zbiory archeologiczne i etnograficzne, nagromadzone głównie troskliwą i umiejętną ręką p. Dowgirda.

Następnie zwiedzono olbrzymią katedrę kowieńską, ruiny zamku, w pobliżu ujścia Wilii do Niemna położonego, oraz okalające Kowno wzgórza, z których roztacza się najbardziej malowniczy widok na miasto: z Aleksoty, z ogrodu pp. Niekraszów i z „Piotrówki“. Pobyt w Kownie znakomicie ułatwiły i uprzyjemniły gościom warszawskim uprzejmość i gościnność organizacji kowieńskich: Sokoła i Stowarzyszenia Handlowców oraz obywatelstwa kowieńskiego (pp. Hryniewscy, Starewiczowie, Telanisowie, Jurjewiczowa, Wereszczakówna, Rewkowscy, Jaworowscy, Grodecy, Nleciecy, Leonasowie, Kognowicy, Robaszewscy, Czerniawscy, Bądzynski, Kozicki, Pawłowiczówna, Wojtkiewiczówna, Stapelis i Rutkowska), którzy do rozporządzenia wycieczkowiczów zaofiarowali swoje mieszkania. Szczególniej zaś podnieść należy uprzejmość p. Wincentego Kognowickiego, który wziął na siebie główny trud zorganizowania przyjęcia wycieczki w Kownie.

W Wilnie Iwιά część czasu zajęto zwiedzania kościołów, które wprawiały wszystkich w podziw bogactwem swem i obfitością pamiątek i dzieł sztuki. Znakomitem ułatwieniem przy zwiedzaniu zabytków i pamiątek wileńskich był przewodnik d-ra Wł. Zahorskiego oraz ustne informacje autora, który oprowadzał wy-

cieczkę po mieście i udzielał wyjaśnień przy zwiedzaniu Muzeum Przyjaciół nauk.

Szczegóły wspaniałej panoramy młasta, roztaczającej się przed widzami z Góry Zamkowej, wyjaśnił artysta malarz Stanisław Jarocki. Cmentarz na Rosie zwiedzono pod kierunkiem znawcy starożytności wileńskich p. Uziemby. Małym statkiem, krążącym po Wilii, udano się do Werek, skąd napawano się pięknym widokiem, roztaczającym się z Parku na góry Ponarskie. Wieczór spędzono w teatrze polskim.

W przejeździe z Wilna do Puszczy Białowieskiej zatrzymano się w Grodnie.

Pod kierunkiem pp. Jana Grzeźułki zwiedzono farę grodzieńską, pomnik Tyzenhauza, cerkiewkę unicką na Koloży, Stary i Nowy Zamek, złożono wieniec na grobie s. p. E. Orzeszkowej, wreszcie dla poznania okolic nadniemeńskich, skierowano się statkiem w górę do Poniemunia i Kochanowa oraz w dół, do Bali i Pyszek, gdzie oglądano piękne odkrywki kredowe i kopalnie wapieni.

W Białowieży pociąg, wiozący wycieczkowiczów w ilości 55 osób, (ponieważ od Białegostoku przyłączyła się nowa partya, złożona z 18 osób, przybywająca z Warszawy i z Litwy) stanął dnia 1 lipca o godzinie 7 m. 55 rano. Tu ze zdumieniem otrzymano wiadomość, że zarządzający puszcza p. Kołokolcew, nie chce udzielić pozwolenia na zwiedzenie zwierzyńca i pałacu cesarskiego „z powodu grasującego karbunkułu“. Żadne argumenty do przekonania pana zarządzającego trafić nie zdołały; pozostało tylko niewyjaśnione — co tu komu mogło zaszkodzić lub — co czemu zagrażać: goście domownikom, czy domownicy gościom. Zanotować przytem należy, że na piśmienne podanie, przesłane pocztą do p. zarządzającego od Zarządu Towarzystwa Krajoznawczego przed kilku tygodniami, nadeszła odpowiedź piśmienna, że pozwolenie na zwiedzenie zwierzyńca i pałacu nie może być udzielone, ponieważ Towarzystwo Krajoznawcze panu zarządzającemu nie jest znane (nieznakomo), dla „przedstawienia się“ więc Zarząd niezwłocznie wysłał panu zarządzającemu dwa egzemplarze oficjalnej i potwierdzonej ustawy.

Nie tracąc więc czasu na rozwiązanie zawilej kwestyi, jakie należy mieć kwalifikacye, by dostać się do zwierzyńca białowieskiego, wycieczka skierowała się do

Puszczy, zatrzymując się na nocleg we wsi Budach. Dzięki pięknej pogodzie, to, co stanowi główny urok puszczy: okazałe drzewa, różnorodność flory zielnej, bogactwo skrytokwiatowych—szczególniej hub i porostów, nadających ciemnym ostępom leśnym charakter dzikich, niekniętych ręką ludzką „mateczników“—przedstawiło się zwiedzającym w całej swej okazałości.

Wszyscy mieli możność podziwiać wdzięk i gracyę przebiegających ścieżkami łowieckimi jeleni, sarn i danieli, a ci, którzy o świcie opuścili wygodne posłanie i udali się w głąb puszczy — widzieli chociaż zdala leśnych brodaczy—żubry. Zwiedzano głównie „Strażę Hajnowską i Augustowską“, gdyż te, najbardziej zachodnie dzielnice puszczy zachowały charakter dziewiczego lasu w najbardziej niezmienionej, pierwotnej postaci. Dwa dni i dwie noce spędzono na łonie szczerzej, bogatej przyrody, a z żalem siadać wypadło do czekającego na st. Hajnowce wagonu, który—przez Siedlce — odwiózł wędrowców do Warszawy.

□□□□□□□□□□

## Nowe książki.

*Wilno. Przewodnik ilustrowany po mieście i okolicach z planem miasta i dodatkiem. Opracował W. Gizbert. Wilno 1910; nakład i druk A. Żukowskiego i W. Borkowskiego. Cena 90 kop.*

Jednocześnie bodaj z omawianym już na szpaltach *Ziemi* „Przewodnikiem po Wilnie“ d-ra W. Zahorskiego ukazał się z pod tłoczni wileńskich i drugi „Przewodnik“ po tem mieście, opracowany przez p. W. Gizberta. Różnią się one dość znacznie układem i wyglądem zewnętrznym, ale mają też jedną wybitną cechę wspólną: oto zrodziła je nie spekulacja wydawnicza, która np. w Warszawie święci wciąż na tem polu optakane swoje tryumfy, ale szczerze umiłowanie staro-grodu jagiellońskiego, jego dziejów, tradycji iabytków.

„Przewodnik“ p. Gizberta odrazu od pierwszych kart budził względem siebie zaufanie i nie sprawia zawodu aż do końca. Na każdej niemal karcie odbija się w nim zarówno gruntowna znajomość przedmiotu, jak i szczerza chęć dopomożenia miłośnikom miasta i przygodnym turystom do bliższego zapoznania się zabytkami miasta i skarbami jego tradycji. Na wstępie mamy tu ogólny rzut oka na przeszłość Wilna, z podkreśleniem najwybitniejszych jej momentów, dalej garść ciekawych informacji o samorządzie miasta Wilna w przeszłości i czasie obecnym. Z kolei przechodzimy do „wędrowek po Wilnie“, rozpoczynających się od Ostrej Bramy: każdy gmach publiczny, każda świątynia, każdy dom ciekawszy znalazł tu dokładny i zajmujący opis. W końcu podaje autor wiadomość o nowej dzielnicy miasta i o okolicach Wilna oraz—wcale obszerny dział informacyjny, zawierający, oprócz pierwszych informacji dla przyjezdnych i zwiedzających Wilno, adresy biur rządowych, instytucji społecznych, towarzystw i t. p.

Do książki, wydanej gustownie i ze smakiem, dołączony został ozdobny plan miasta oraz plany teatrów miejskich. Ryciny, w liczbie 26, dobrane zostały bardzo umiejętnie. Słabe są jedynie wnętrza kościołów, natomiast świetne rysunki F. Ruszczyca są prawdziwą ozdobą książki. Utrzymany w archaicznym stylu ładny rysunek starego Wilna na okładce wyszedł z pod ołówka p. Wandy Stanisławskiej.

„Przewodnik“ p. Gizberta polecić można śmiało wszystkim, interesującym się przeszłością i stanem obecnym starej stolicy Litwy.

E. M.

*Fr. Bujak. — Galicya tom II. Lwów nakł., H. Altenberga, 1910, str. IV + 509.*

Znakomitej monografii prof. Bujaka, której tom pierwszy wzbudził tak wielkie zainteresowanie i tak powszechne zyskał uznanie, ukazała się część druga. Nie chcąc i nie mogąc zbywać dzieła, którego pojawienie się jest poprostu wypadkiem dnia w naszej literaturze naukowej, suchą wzmianką kronikarską, zastrzegamy sobie bardziej szczegółowy rozbiór jego w czasie możliwie niedługim. Na razie niech nam wolno będzie zaznaczyć, że tom niniejszy obejmuje leśnictwo (gospodarstwo leśne, handel drzewem), rybactwo, łowiectwo, górnictwo, (sól, przemysł naftowy i jego przesilenie obecne, wosk ziemny, węgiel, żelazo, ołów i cynk), przemysł z uwzględnioną obszernie sprawą uprzemysłowienia kraju, szkolnictwem przemysłowym, stanowiskiem państwa i kraju wobec przemysłu) oraz przemysł domowy. Działy nieuwzględnione w tomie niniejszym (obraz położenia robotników, przedstawienie stanów poszczególnych gałęzi przemysłu) oblecze prof. Bujak zgromadzić i wydać w dalszym, trzecim już tomie Zamyka tom obszerna 40 stronicowa bibliografia dzieł i wydawnictw, które się w ciągu ostatniego dziesięciolecia ukazały a za podstawę do tej poważnej pracy służyły.

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

+ W Wiadomościach Codziennych znajdujemy artykuł p. St. K. Lineburga z Sejn treści następującej:

„Odczytując różne pisma, spotykamy się dość często z utyskiwaniem włościan z Królestwa na brak ziemi do nabycia, a szczególnie na niemożność jej nabycia z powodu wygórowanych cen. To właśnie powoduje mnie do publicznego odezwania się do szukających ziemi, że u nas w Suwalszczyźnie aż nadto znajduje się jej dla nich, byle tylko zechcieli przybyć do nas.

Nie zachęcam do nabywania ziemi w czterech powiatach litewskich: kalwaryjskim, maryampolskim, wykrowyskim i władysławowskim, gdzie pożyćie śród braci-litwinów, przez tyle wieków z nami zgodnie współżyjących, obecnie zaś wrogo zaagitowanych przez kler litewski, jest nie do zazdrości, a nad tem ci duszpa-

sterze od długiego już czasu pracują, nie pomnąc, że winni być sługami Chrystusowymi i miast nienawiści—słać ziarno zgody i miłości bliźniego, boć wspólną krwią ziemia obłana, do nas zobopólnie należy. Ale jeszcze w Ziemi Suwalskiej mamy trzy powiaty polskie: augu-  
stowski—czysto polski, suwalski i sejneński mieszane.

„Otóż do przybycia do tych powiatów polskich usilnie zachęcam. Gotów jestem służyć wskazaniem miejscowości i dobrej nawet gleby, gdyby nabywcy zechcieli przysłać swych delegatów do obejrzenia ziemi. Obecna pora bardzo się do jego nadaje, tempardziej że można zobaczyć niezłe plony przy niezbyt kulturalnej gospodarce. Ten sam szmat ziemi, którego właściciel dla braku gotówki nie mógł należycie obrobić, gdy dostanie się w posiadanie włościan z innych, więcej oświeconych stron Królestwa, inne zupełnie wyda plony i nauczy naszego włościanina namacalnie, co może wydać ziemia przy intensywnem gospodarstwie włościańskim. Przybycie zaś innych do nas ludzi miałoby dla obu stron korzyści. Pierwsi mieliby o wiele tańszą ziemię, aniżeli u siebie, bo tutaj mógł już wcale dobrej ziemi po 100 rb, kupić można, a nasze parafie polskie wzmochnęłyby się narodowo i zapewne miałyby przykład lepszego gospodarowania. Wskazówkami zatem służę”.

+ Z Podola donoszą, że skutkiem ogromnego ubytku wody żegluga po Dniestrze koło Jampola i Mohylowa jest ogromnie utrudniona. W górę zaś za Mohylowem podobno nawet tratwy kursować nie mogą.

+ Ogólna cyfra ludności, która w ciągu ostatnich lat czterech wyemigrowała z gub. podolskiej za Ural, sięga 47,950. Dodać warto, że liczba emigrantów z 7,374 w r. 1907 wzrosła do 20,620 w r. b. czyli w trójnasób.

+ Znany historyk prof. Adam Szczęgowski w n-rze 119-ym Dziennika Kijowskiego zamieścił obszerny artykuł p. t.: „Od czego pochodzi nazwa Wołynia?” Zacytował w wstępie zdanie znakomitego znawcy dziejów Rusi, Aleksandra Jabłonowskiego: „pochodzenie nazwy Wołyn jest wcale nieznanem i niezrozumiałem; oczywiście nie brak przeróżnych tłómaczeń; jedno wszelako jest pewnem, że nazwa to prastara, czy słowiańska—to podlega wątpliwości”,—prof. Szczęgowski podaje dalej w tej sprawie następujące ciekawe uwagi własne:

„Wiemy z pewnością, że istniał gród Wołyn, o którym podaje wzmiankę najstarszy latopisiec ruskich pod r. 1018, a Długosz wiedział jeszcze, że ten gród leżał niedaleko ujścia Huczwy na lewym brzegu Bugu, tam gdzie za czasów Długosza a i dzisiaj jeszcze znajduje się wieś Grodek; że od niego pochodzi nazwa Wołynia, temu przypuszczaniu Długosza, nauka i dziś jeszcze daje aprobatę. Należy zatem w nazwie grodu Wołynia poszukiwać wytłumaczenia nazwy ziemi.

„Ażeby nas jednak nikt nie posądzał, że te nazwę, rzekomo ruską, dowolnie modyfikujemy, zwrócimy się tam, dokąd i każdy historyk rosyjski zwracać się musi, a włączyć do kronikarzy ruskich. Właśnie pod r. 1018 w już cytowanym ustępie o wyprawie Bolesława

Chrobrego powiedziano, że poszedł Jarosław przeciw Bolesławowi i Światopółkowi ku miastu Wołyniu i zetknęli się na połowie rzeki Bugu. Zamiast „Wołyniu” (3-ci przypadek) jak w kodeksie laurentyjskim, inny kodeks hypacki ma odmianę językową „Wieliniu”.

„Prof. Hruszewski, który w swej „Historii” tej tylko nazwy zawsze używa dla starożytnego grodu Wołynian, powodując się zapewne predylekcyą do miękkiego brzmienia tej nazwy, właściwego mowie rusińskiej (na przykład Rjaszew, Bereziw, zamiast Rzeszów, Brzozów) pomija jednak wszelkie konsekwencje, jakie stąd płyną dla starożytnej nazwy Wołynia, oraz plemienia Wołynian, które powinny brzmieć: Wieliń, Wielinianie.

„Nie jestem dyalektologiem słowiańskim i dlatego trudno mi jest określić, dla jakiego narzecza słowiańskiego ta forma językowa Wieliń jest bardziej właściwa. Ale ze stanowiska onomastyki geograficznej muszę stwierdzić, iż ten wyraz spotyka się w mnóstwie nazw miejscowości i to nie na wschód ku siedzibom dniewprowskim, lecz na zachód. Według Miklosicha pierwsiastek vel—(st. słow. valz) oznacza to samo co i polskie fala (unda); stąd wali (deszcz)—pada nawałnica (po lit. viluis, st. górno-niemiec. (welle). Wiela, Wela, Wel jest to nazwa licznych rzek słowiańskich. Czy potrzeba wywodzić pokrewieństwo z tą nazwą—nów, Wielanów, Wilanów, Wilanów (Wylany), Wieleniów, Wieleniów, nareszcie wielkopolskiego Wielunia, stolicy ziemi wielunijskiej. Podobno Wielunie—wsie—spotykają się i na Mazowszu i na Wołyniu. Ale co najciekawsze, samą nazwę spotykamy jeszcze dalej na kresach zachodniej Słowiańszczyzny w nazwie Wolina lub Wielenia, niemieckiej Winety, przy ujściu Odry położonego. Ów Wołyn lub Wieluń, jak kto chce, ma równorzędną nazwę ludu wśród słowian nadodrzańskich: Wilinów (Wilini u Adama Bremeńczyka, Vuloini u Widekinda). Te formy są już naturalnie cudzoziemskie i przystosowane do brzmienia łacińskiego kronikarzy zachodnich. Ale kto chce stwierdzić brzmienie słowiańskie mieszkańców północnego Wolina, ten je łatwo odszuka w daleko wcześniejszej nazwie geografa bawarskiego (ku końcowi IX wieku) i Velunesich, czyli nasi rodzimni Wielunianie.

„Zwykły czytelnik znuży się zapewne tymi archeologicznymi szczegółami. Ale na usprawiedliwienie swoich wywodów przytoczę, że ta nazwa Wieliń i Wielinianie, to jedyny szczegół archeologiczny na przestrzeni szeregu wieków, który nam mówi o tym kraju tak samo, jak pieniądź znaleziony gdzieś na wschodzie opowiada nam nieraz o istnieniu całego państwa lub dynastji. I naodwrot, nie zliczyłbym, ani wyczerpał całego morza literatury, która zrodziła się głównie w zeszłym stuleciu dla stwierdzenia praw rosyjskich do ziemi Czerwińska lub Wołynia.

„Ażeby ten wywód pochodzenia nazwy Wołynia nie okazał się daremny, pokuszę się jeszcze o rzucenie światła na genezę tej nazwy. Z góry jednak zastrzegam się, że nie chodzi mi o językowe, lecz o topograficzne jej wyjaśnienie. W ogólności nazwy miejscowe na ziemiach polskich jest to kwestya, która tylko czeka

opracowania, już netylko historyka, ale przede wszystkim językoznawcy, byle tylko ten ostatni dawał swe wywody w ręce historyka dla sprawdzenia ich przy pomocy źródeł historycznych.

„Co nam mówi topografia wołyńska?”

„Nazwy, jak Wielin lub Wieluń, są związane z obszarami wodnymi, rzecznyymi czy jezierzystymi, w każdym razie nizinnymi. Wielin jest nazwą rzeki na Wołyniu i Białej Rusi, tak samo jak w Wielkopolsce spotyka się Wełna (Vua w r. 1135, Velina r. 1280, Velina r. 1422), nad którą wieś tego samego imienia. Wielin (Wela r. 1383, Wela 1299) jest to wieś i jezioro w pobliżu Nakła, na granicy Pomorza. Niemożliwe jest sprawdzać po kolei właściwości topograficzne wszystkich Wielinów i Wielinów. Dość podkreślić, iż onomastyka utrwaliła w mowie przeciwstawność tych nizinnych i wodnistych obszarów do wzgórzystych i wyżynnych. I tak, w powiecie chojnickim, nad jeziorem Wielkolewskim znajduje się wieś Wielin (niem. Wiele), na północ od której ciągną się wzgórza, sięgające 640 stóp, zwane „Chełmice” (Słown. geogr. t. XII, str. 310). Jest to jakby ilustracja tych samych stosunków topograficznych, które wydały na północ od leżącego w zbiegu rzek Huczwy i Buga—starodawnego Wielunia—dzisiejsze miasto Chełm, leżące na wzgórzu powyżej rozciągających się ku południowi nizinnych i bagnistych okolic.

„Ażeby zakończyć ze znaczeniem topograficznym nazwy Wielunia, powtarzam, że Długosz tłumaczył ją „płękniemi, rozlewniemi i wieczystymi strugami, oraz ziemią nizinną, a urodzajną”, tak jak gdyby dla ucha jego taki, a nie inny właśnie dźwięk ukrywał się w tej nazwie. Wydawcy „Starożytnej Polski” oddali tę myśl Długosza w tłumaczeniu nazwy Wielunia „od wielu źródeł (struga—fons) w tem samym miejscu wytryskających” (t. I, str. 240), akcentując wyraz „wielu”, którego u Długosza wcale niema. Oczywiście „Wieluń—wielu” jest to jedna z zabawek etymologicznych. Jakby dla charakterystyki tych samych praw topograficznych, które rządzą onomastyką miejscową, dodam jeszcze, że jedna ze strug, płynących około Wielunia, nazywa się po dziś dzień jeszcze—Bugaj”.



+ Stolica biskupia we Fromborku na Warmii obchodziła w d. 8 b. m. 600-tni jubileusz swego istnie-

nia. Założycielem miasta był biskup Henryk I. Pierwotnie była to wioszczyzna rybacka. Frombork nabrał z czasem rozgłosu dzięki Mikołajowi Kopernikowi, który zamianowany kanonikiem przy tumie we Fromborku, tam właśnie dokonał wielkopomnego odkrycia, że ziemia obraca się naokoło słońca. Tam Kopernik zmarł d. 24 maja 1543 r., tam też spoczywa.

+ Dr. Fr. Chłapowski w pracy swej „Pseudolitten aus den Kiesgruben in der Nahe Posens” zwraca uwagę na występowanie w żwirowiskach polodowcowych okazów, łudząco podobnych do eolitów, najstarszych wyrobów człowieka przedhistorycznego z epoki kamiennej; utwory te jednak wytworzone zostały bez udziału człowieka przez samą naturę pod wpływem wody i czynników atmosferycznych. Autor zwie je „pseudolitami”. Zbiorek ich znajduje się w Muzeum Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

+ Wycieczka do Bośni i Dalmacji, urządzona przez Akademicki klub Turystyczny we Lwowie, odbędzie się w czasie od 1 do 22 sierpnia. W programie zwiedzenie Budapesztu, Zagrzebia, Banjaluki, wodospadu w Jajcach, Serajewa, Ilidże, Mostaru, Gravozy, Cattaro, Cetynii w Czarnogórze. Powrót parowcem do Tryjestu; w drodze zwiedzenie Raguzy, Spalatu, wysp Lissy i Lessiny, oraz Zadaru, a wreszcie grot w Postojnej. Uczestniczyć także w wycieczce mogą także nieczłonkowie Klubu, tak panowie, jak panie za opłatą 4 rubli na rzecz klubu. Ogólny koszt wycieczki około 80 rubli. Zgłoszenia i informacje listownie pod adresem prowadzącego inż. Jana Webera, Lwów, Politechnika.

---

---

**NADESŁANE.**

---

SZKŁO, PORCELANĘ, FAJANSY i t. p.  
□ poleca: PIERZCHALSKI, Szpitalna 5. □

---

---

---

---

**TREŚĆ:** *B. Janusz* — „Pochodzenie i zastosowanie ornamentu geometrycznego w ceramice przedhistorycznej” dok. (z 4 rys.); *Regina Danyszówna*. — „Wrażenia z wycieczki zimowej w Tatry”; *S. Matusiak* „Do dziejów kasztanowca”; „Portal w Czerwińsku” (z 1 ilustr.); *Wł. Leszczyński* — „Sosna Napoleona I.”; *St. Th. Sven Hedin* w Tybecie” d. c.—(z 2 ilustr.); Z polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Kronika Krajoznawcza. Z naszych krajobrazów—5. „Motyw z Mińszczyzny.

---

---

---

---

Wzrost tytułowy i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskaera 1 8-ki—Składał i tamal Wacław Domański—Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht.—Kilce wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego 1 8-ki—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

---

---

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.